

# Alina Witkowska

---

## Doświadczenie towianistyczne Adama Mickiewicza

---

Rocznik Towarzystwa Literackiego imienia Adama Mickiewicza 22, 79-93

---

1987

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

*Alina Witkowska*

## DOŚWIADCZENIE TOWIANISTYCZNE ADAMA MICKIEWICZA

W miejsce pytania dlaczego, które zazwyczaj stawia się z okazji uczestnictwa Mickiewicza w Sprawie Bożej Andrzeja Towiańskiego, postawmy pytanie inne, o odpowiedzi mniej hipotetycznej. Spytajmy kim był Adam Mickiewicz w momencie poznania Towiańskiego. I jeszcze inaczej: kim był we własnej świadomości. A ta świadomość w ważnych i wielkich momentach bywa decydująca, zwłaszcza u Mickiewicza, który nie należał do niewolników roli społecznej, opinii innych i nie celebrował swych darów poety. Nie to, żeby ich nie cenił, nie tak, żeby poezję lekceważył, ale nie wystarczała mu ona ani jako samorealizacja, ani jako sposób na własne życie, ani jako terapia dla innych. Jego tożsamość osobowości nie była tożsamością poety. Czy mogła być identyfikacją z rolą ojca rodziny, męża kobiety psychicznie niezrównoważonej i polskiego emigranta?

Na każdą z takich możliwości Mickiewicz dałby i dawał, pośrednio lub wprost, odpowiedzi przeczące. Gdyby chciał być przede wszystkim ojcem rodziny, nie pojechałby później do Konstantynopola zostawiając swe dzieci na łasce losu. Nie był także terapeutą swojej żony, choć bywał nim, wszakże nie starał się spełnić wielu jej pragnień, jej wyniesionych z domu upodobań do stylu życia salonowego. Więcej, skazywał ją dość bezwzględnie na borykanie się z rozlicznymi dolegliwościami życia. Najbardziej zawikłana wydaje się wszelako emigrancka tożsamość Mickiewicza.

Wybrał dolę emigranta dobrowolnie, solidarny w tym z opuszczającymi Polskę po upadku powstania, ale nigdy nie przekroczył granicy identyfikacji, nie przyjął formuły emigranta jako wyznacznika swego losu. Prawdopodobnie tak ważne w jego myśleniu rozróżnienie między pielgrzymem a emigrantem w jakimś sensie należy odnieść do jego własnej kondycji Polaka na obczyźnie. Świadomie i celowo zachowywał dystans wobec zbiorowości wychodźczej budującej swą chorą tożsamość z rozbi-

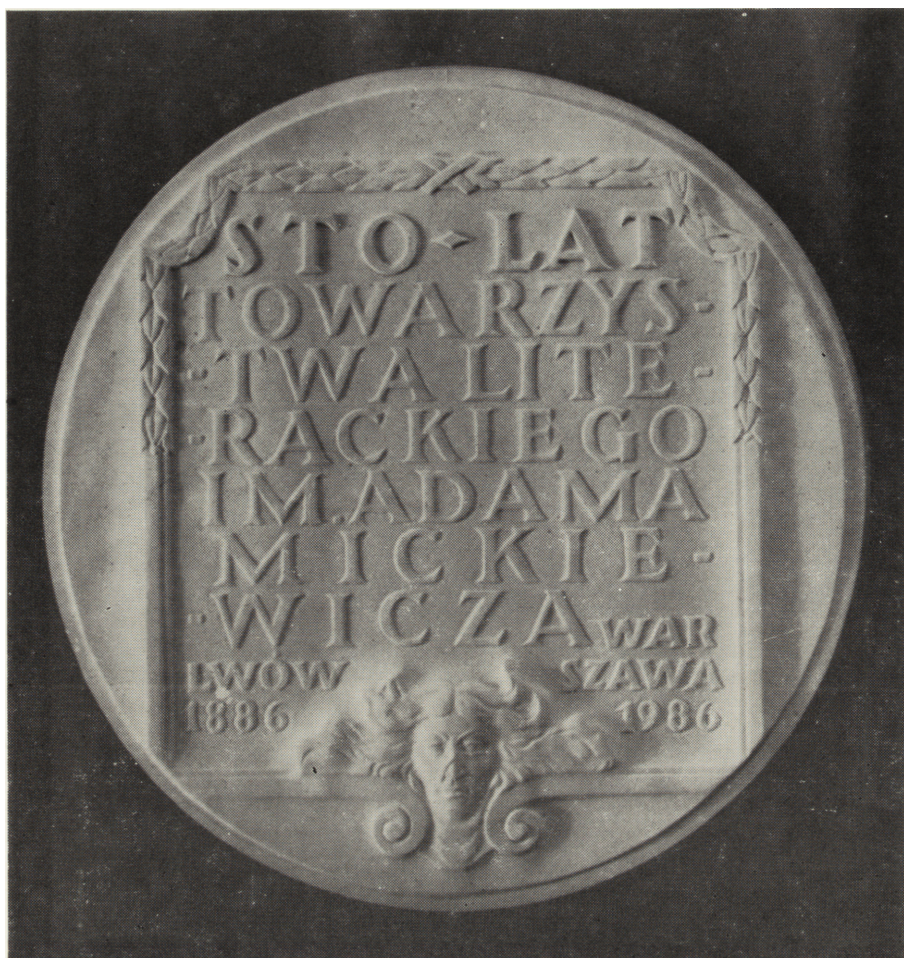
tych resztek tożsamości dawnej, domowej i powstańczej, zwłaszcza powstańczej, z marzeń o ponowieniu walki i zwycięskim powrocie, z przedłużania kondycji żołnierskiej, a nawet „fasonu” wojaka. A także z gestów, zachowań, obrzędów zrozumiałych i znaczących wyłącznie w obrębie społeczności emigracyjnej, zamkniętej między wspomnieniem a marzeniem o współczesności wypełnionej przez marnotę czynności codziennych i psychiczne skutki skazania na siebie — kwasy, afery, awantury, dewiacje. Tej tożsamości emigracyjnej, redukującej byt tyleż materialny co duchowy, bało się wielu i próbowało znaleźć inną formułę losu. To przede wszystkim ci, którzy zdecydowali się na stabilizację, na integrację ze społeczeństwem kraju wygnania, wreszcie na karierę zawodową w jego obrębie. Godny i wart podziwu przypadek Ignacego Domeyki jest szlachetną odmianą tego właśnie gatunku ludzi, którzy nie przystali na tożsamość emigracyjną i postawili na karierę zawodową.

Przed nikim bojąj w takiej mierze, jak przed Mickiewiczem, nie rysowała się możliwość kariery zawodowej. Nie poetyckiej oczywiście, lecz profesorskiej, zawodowej kariery uczonego humanisty. I swojej szansy nie musiałby szukać, jak Domeyko, za oceanem, lecz znalazłby ją w środku Europy, w pięknej i spokojnej Szwajcarii, w miłym mieście Lozanna. Właśnie tu, nie w Collège de France, gdzie od początku towarzyszyły mu zastrzeżenia i nieufność rządu do polskiego emigranta i gdzie kariera zawodowa przypominała trochę pracę linoskoczka. Tyle bowiem pułapek politycznych niósł słowiański temat wykładów, oczekiwania publiczności bynajmniej niejednorodnej i emigracyjny ich rezonans mieszający potężną dawkę polityczności do każdego sądu profesora. A w Szwajcarii był znakomitością od literatury łacińskiej, chlubą i zaszczytem władz kantonu, które troskliwie i umiejętnie tworzyły warunki sposobne dla rozbłysku świetności profesora-poety.

Wydaje się, że Mickiewicz wiedział, co traci porzucając Szwajcarię, a z biegiem lat skłonny był podnosić zalety tego epizodu swojej biografii, widząc w nim właśnie idealne spełnienie wzoru kariery zawodowej. Opuszczał bezpieczne dla ryzykownego dlatego przede wszystkim, że pracę w Collège od początku traktował jako służbę, moralny obowiązek, szansę dla postawienia spraw o wymiarze generalnym, przekraczającym skalę zarówno jednostkowego sukcesu, jak też korzyści naukowej. Z czasem Mickiewicz już wyłącznie jako służbę pojmował pracę w Collège, widząc w niej nawet zaprzeczenie kariery, pozycji, sukcesu zawodowego. Usunięcie go z katedry i własne przyzwolenie na tę decyzję władz traktował właśnie jako opór wobec tej formuły zawodu i człowieka kariery, który obowiązywał w publicznych regułach gry cywilizowanego świata. Wyraziście ujął ten problem w liście do Józefa Grabowskiego z 22 I 1847 r. „Mogłem tu być zrobić sobie położenie wygodne, a nawet świetne, ale



Medal jubileuszowy. Awers. Proj. Anna Jarnuszkiewicz



Medal jubileuszowy. Rewers

podł warunkiem wyrzeczenia się żywotnej mojej zasady. Chciano żebym się u s p o k o i ł. Dobry jest pokój umarłym i szczęśliwym. My koniecznie świat niepokoimy i musimy niepokoić. Pójdę więc dalej swoją drogą [...]”<sup>1</sup>.

Nie jest to wypowiedź zagorzałego towiańczyka i owo „my” także nie tylko do sekty się odnosi. To raczej człowiek dojrzały, minawszy najwyższe wzniesienie sukcesu, rzuca spojrzenie wstecz, na życie, którego spooro już upłynęło i które świadomie rozmijało się z karierą. Nie tylko na emigracji, wcześniej jeszcze. „Było tak już dawniej ze mną w Rosji — pisał w liście do brata — I tam mógłbym świetnie mieć stanowisko, gdybym wyrzekł się tego, co w duszy noszę i co mię rusza, i żywi, i pociesza. Idę więc za gwiazdą moją [...]”<sup>2</sup> A wracając pamięcią do przyjaciół młodości poczynił charakterystyczne spostrzeżenia, że Franciszek Męalewski łysieje, bogacieje i tyje w Petersburgu — niewątpliwie spełniając wzór kariery zawodowej — zaś o Zanie jeszcze dobitniej — że zgubił swoją drogę. Można sądzić Mickiewicza zrozumieć w ten sposób, iż Męalewski uzyskał nową tożsamość zawodową, Zan natomiast utracił dawną tożsamość duchowego idola młodzieży i nie odnalazł się już na dalszych ścieżkach życia. Jak dobitnie świadczą przytoczone cytaty, a nie są to jedyne zapisy autoświadomości poety, Mickiewicz sądzi, że nie zbił się ze swojej drogi, że zna swoją gwiazdę przewodnią i że nigdy nie prowadziła ona do najszlachetniej pojętego sukcesu zawodowego czy pozycji w świecie.

Zatem dokąd prowadziła? Towianizm Mickiewicza jest odpowiedzią na to pytanie.

W doświadczeniu towianistycznym poety od początku na czoło wybijają się dwa pojęcia: nowe i wielkie. Nie są to zwykłe, banalne przymiotniki. Ich funkcja w myśleniu i odczuwaniu Mickiewicza dotyczy generalistów światopoglądu, więcej — całości pojmowania bytu realnego i metafizycznego, historii, człowieka i Boga. Sprawę Towiańskiego, nawet wówczas gdy poznał zaledwie jej zarysy z pierwszych rozmów z „dziwnym” człowiekiem z Litwy, uznał właśnie za wielką i nową. I własne życie, własną drogę ujrzał w blasku tej nowości. Sądził także, iż wielkość dzieła przyda wymiaru jego własnemu życiu: uskrzydli je, usensowni, pozwoli wyzyskać dary, jakie czuł, że ma, ale wykorzystuje je fałszywie, na pozę tylko. A świat trzeba zmienić i poniekąd od nowa stworzyć człowieka. Rozmach antropologiczny, jaki jest w towianizmie, a który namiętnie intensyfikował Mickiewicz, jako jeden z najaktywniejszych współtwórców tego kierunku, przyjął poeta za gwarancję nowości i wielkości. Znajdował w tym bowiem potwierdzenie swego stałego przekonania o mocy człowieka i jego roli w świecie, ale zarazem odnowione w duchu odnowionego chrześcijaństwa. Nie przypadkowo gromadzimy tutaj ten sam

przymiotnik odnowiony. Dla Mickiewicza bowiem — i nie tylko dla niego — znamię wielkości nauki Towiańskiego tkwiło właśnie w rozmachu, w totalności, w gwarancji, jakich jedno twierdzenie udzielało drugiemu. Dlatego wielu, a Mickiewicza przede wszystkim, zachwycała realność, konkretność towianizmu, którego zasady można było od razu wcielać w życie, od zaraz zmieniać siebie, by w przyszłości zmienić świat. Zarazem Towiański udzielał odpowiedzi dotyczącej kierunku zmian: odnowione chrześcijaństwo, prawdziwy duch i wzór Chrystusa wprowadzony wszędzie — od codziennego stylu życia, poprzez rodzinę po zreformowany Kościół włącznie.

Wiadomo, są tego liczne przykłady, że ten program, zwłaszcza atak na instytucję Kościoła, wielu trzymał z daleka od towiańszczyzny, a innych wręcz odstręczał od niej. Bohdanowi Zaleskiemu, o którego pozyskanie bardzo zabiegał Mickiewicz, przypisuje się sąd, iż z założeniami towianizmu się zgadza, ale boi się księży i nie chce wchodzić w spory z Kościołem. Może więc wyglądać na to, że rysował się konflikt swobody interpretacyjnej z ortodoksją lub Kościoła zinstytucjonalizowanego — urzędu Kościoła, jak mawiał Towiański — z poezją religii oraz nową mitologią.

I bodaj tak właśnie było. Dlatego szczególnie wrażliwi na towianizm okazali się poeci, aż trzech ich w sekcie: Mickiewicz, Słowacki, Goszczyński, i w ogóle ludzie nie skrępowani rygorami doktryny. Antydoktrynalizm Mickiewicza jest znany i jego wielka w tym zakresie śmiałość, ale chyba sam nie do końca zdawał sobie sprawę z tego, że towianizm ma dla niego urok poezji i pobudza jego poetycką wyobraźnię. Przy Słowackim jest to sprawa oczywista, Mickiewicz zaś zrobił wiele, aby zatrzeć ślady poezji, mówiąc o realności, działaniu, o konkretyzacji. Słowa jednak nie przesłonią istoty rzeczy, którą tak doskonale ujął Goszczyński mówiąc, iż towiańszczyzna jest „poetyczna w ogólnikach, prozaiczna w szczegółach”<sup>3</sup>. Jak dalece potrafiła być prozaiczna, scholarska i na dodatek dogmatyczna okazało się z czasem, gdy analiza monottonnych nauk Mistrza stała się głównym duchowym zajęciem braci. Nie u początków wszakże. W pierwszych spotkaniach z Mistrzem jego nauka jawiła się w rzutach ogólnych, których zarysy słuchacz mógł wydobywać wyobraźnią i nią też uzupełniać szczeliny czy luki wywodu. Język mistyki jest w ogóle bliski poezji, bądź bywa poezją, Towiański zaś swobodnie przechodził od *lieux communs* mistyki do aury poezji, do wyobrażeń i wyrażań poezji romantycznej, głównie Mickiewiczowskiej.

Złośliwi mówią, że przed spotkaniem z generałem Towiański studiował jego bitwy, „zejście się” z poetą poprzedzał uważną lekturą jego pism. Więcej zatem wiedział o człowieku niż miał objawione. Ale nie można wykluczyć, że było jeszcze inaczej, że swój system tworzył Towiański m. in. z budulca poezji, że własną wyobraźnię zasilał wyobraź-

nią poetów, projektując wizję świata i człowieka spokrewnioną z literaturą, z poezją Mickiewicza głównie, a z *Dziadów* częścią III przede wszystkim. Nie chodzi o to, że zdarzało mu się pożyczać języka u Mickiewicza. Gdy w *Biesiadzie z Bratem Karolem* czytamy: „Ofiary Twe Chrystusowe na drodze publicznej Słowa Bożego, Miłości Ludów, postępek Ludów, Lud Ludów, Trud Trudów, to dźwignie Twoje w wielkiej Twojej Służbie Bogu i Bratu”<sup>4</sup>, wiadomo, że mamy do czynienia z inkorporacją tekstu Mickiewicza. Ale Mickiewicz bywa obecny w sposób filologicznie bezśladowy, właśnie w tkance wyobraźni, w polu skojarzeń, w formowaniu sceny życia jakby wyjętej z romantycznego teatru *Dziadów*.

Jest to problem nie tyle istotny z uwagi na Towiańskiego, bo nie taka znów z niego ważna persona, ile na Mickiewicza i jego identyfikację z naukami Mistrza. Towiańskiemu udało się stworzyć więź bliskości między swoim słowem a słowem poezji, na co Mickiewicz nie mógł być nieczuły, ale nadto wielorako tę poezję nobilitował. To straszne, gdy się stwierdza, że Towiański nobilitował Mickiewicza, ale horrendum znika, jeśli się weźmie pod uwagę niewiarę Mickiewicza w skuteczność poezji, w jej możliwość wpływania na cokolwiek poza sferą ludzkiej duszy, wreszcie głęboki krytycyzm wobec własnych dokonań. W więzi z Towiańskim jego własna twórczość zyskiwała jakby nowy wymiar, przekraczała literackość stając się świadkiem objawienia. Trzeba było szydliwości Słowackiego, aby tę relację potraktować jako więź z mocarzem zapowiedzianym w proroctwie oszusta. Dla autora *Dziadów* poezja, świadcząc objawieniu, rozpoczynała nową służbę, wyższą i godniejszą, zapowiadała świt epoki wielkiej przemiany.

Sama zaś przemiana powinna być taka, jak ją pojmował Towiański, aby mogła przemówić do Mickiewicza, trafić w jego istotne oczekiwania. U jej podstaw powinna tkwić religia i tkwiła istotnie<sup>5</sup>. Na pytanie, dlaczego właśnie religia, można odpowiadać wielorako, ale szczególnie mądra wydaje się odpowiedź sformułowana na podobne pytanie przez Carla Gustawa Junga. Stwierdzał on, że wśród wszystkich jego pacjentów, którzy przekroczyli 35 rok życia, nie spotkał ani jednego, którego problem ostateczny nie byłby problemem postawy religijnej. Właściwie każdy choruje na to, co utracił, co żywe religie dawały swym wiernym we wszystkich epokach i nikt nie będzie wyleczony, kto nie odzyska swej postawy religijnej, co oczywiście nie jest tożsame z konkretnym wyznaniem czy przynależnością do Kościoła<sup>6</sup>.

Sąd ten z powodzeniem daje się odnieść do przypadków ludzi nie ujętych w jednostki chorobowe, ale — jak polscy emigranci — poddanych ciężkim stresom, depresjom, rozchwianiu tożsamości. I znajdującym się w tym właśnie przedziale wiekowym między młodością, która minęła a wiekiem dojrzałym naznaczonym klęską. Pobudzenie religijne



wśród emigrantów można było zaobserwować jeszcze przed Towiańskim, w erze tzw. Domku Jańskiego, i Mickiewicz miał w tym swój udział. Ale ta wspólnota religijna dość szybko poczęła ewoluować w stronę kościelnych struktur sformalizowanych i zakończyła się na służbie zakonnej. Mickiewicz szukał zaś nie instytucji, lecz źródeł „żywej” religii, wedle określenia Junga.

A właśnie Towiański proponował religię żywą. Co tam proponował, on ją po prostu zwiastował jako dobrą nowinę dla świata w tych — jak mawiał — „czasach kierunkowych”, w epoce szczególnego zlewu łaski Pańskiej u początku „drugiej epoki chrześcijańskiej”. Religię żywą w sposobie wielorakim. Przede wszystkim żyjący wzór Chrystusa. Cała etyka i antropologia Towiańskiego oparta była na naśladowaniu tego wzoru, na zbliżeniu się do tej normy doskonałości, dostępnej kiedyś we wcieleniu ludzkim, przeto nadal istniejącej jako możliwość. Na sojusz antropologii z chrystologią Mickiewicz był zawsze wrażliwy. Liryki rzymskie to dowód, jak urzekala go człowieczość Boga, a specjalnie żarliwy stosunek do dziełka Tomasza z Kempis *O naśladowaniu Chrystusa* świadczy, że obcowanie z ludzkim wzorem bóstwa traktował i jako terapię, i jako naukę żywą. Towiański zwykł był mawiać, nie unikając bądź nie czując trywialności określenia, że Słowianina „weźmiesz” Chrystusem, a Francuza Napoleonem. Jeśli była to kalkulacja, zatem niegłupia i w stosunku do Mickiewicza powiodła się w pełni. Był właśnie takim Słowianinem, którego można wziąć Chrystusem. Dlatego przede wszystkim, że ukazujący przez Towiańskiego wzór Chrystusa wymagał od Mickiewicza bardzo wiele, ogromnych zmian, wyrzeczeń i przewartościowań. Stawał się więc programem wielkim, angażował całą duchowość poety i gwarantował gruntowną odnowę wewnętrzną. Należało przede wszystkim zgłupieć dla Chrystusa, czyli przejść szkołę pokory — zadanie kuszące dla wielkiego indywidualisty. Więcej. Towiański wskazywał konkretny wzór pokory — chłop polskiego; trzeba było więc także schłupieć i rozwinąć w sobie te dary, które umiejętności stłumiły w człowieku cywilizowanym. Mickiewicz od dawna w niskiej miał cenie pedantów, ludzi książkowych i ich naiwne złudzenia, że mądrość jest dobrem człowieka. Teraz począł gwałtownie pozbywać się balastu uczoności, aby niejako odblokować te dary, które chłop posiada w sposób naturalny — spontaniczność, uczuciowość, instynkt.

Wszakże nie na chłopie kończyły się proponowane przez Towiańskiego wzory identyfikacji. Święci, to była skala możliwości człowieka, droga postępu, która wiodła od chłopskiej pokory po dary i moce świętych: widzenia, prorocstwa, aż po łaskę cudów włącznie.

Wątpliwe, aby Mickiewicz żywił nadzieję na świętość, ale wiedział, że ma dary wewnętrzne, doświadczał niezwykłych stanów podniesienia

ducha, które — jak się wyrażał — kiedyś „puszczał na poezje”, po spotkaniu zaś z Towiańskim zużytkował dla ćwiczeń spirytualnych, tak aby czynnik ducha i woli swoiście uniezależnić tyleż od ciała, ile od rzeczywistości zewnętrznej. Jak sądził poeta, była to jedyna droga prowadząca ku pełnej koncentracji wewnętrznej i duchowej suwerenności człowieka, swoiście niezależnego od warunków życia i historii. A więc droga wyzwolenia.

Mickiewiczowi nie chodziło tylko o eksperymenty magiczne bądź o realizację odwiecznego marzenia teozofów — przenikania tajemnic natury, choć miewał takie pokusy, lecz o przekonanie płynące z własnego wnętrza człowieka, o moc, odporność, pewność sądu, skuteczność działania zależne tylko od własnych dyspozycji duchowych. Taki człowiek mógł mieć stany widzeń, dar cudów, ale bodaj nie one były dla Mickiewicza najważniejsze. Kiedy udzielał rad moralnych Małgorzacie Fuller, albo też uczył koncentracji wewnętrznej poczciwą Konstancję Łubieńską, szarpaną przez opinię sąsiedzką za niestosowne drugie małżeństwo, nie do magicznych efektów zmierzał. A rady dawał im podobne jak innym braciom towiańczykom i prawie jak sobie samemu. Ciągłe bowiem chodziło mu o zaufanie do siebie, o niezależność i heroizm moralny. Bez tych cech, sądził, człowiek nie stanie się suwerenny, swobodny w myśleniu i zachowaniach, nie będzie więc sposobny do działania.

A właśnie „człowieka działającego” miał na względzie Mickiewicz we wszelkich rozmyślaniach o ideale towiańczyka. Mistrz także kazał się sposobić swym prozelitom do przyszłych działań, aktywizm bowiem stanowił istotną cechę tyleż jego antropologii, ile metod postępowania. Wszakże Towiański stawiał przede wszystkim na wielkość w człowieku, którą — jak sądził — można zdobyć drogą ćwiczeń i samozaparcia. Wtrącał braci w sytuację prawie bez alternatywy: „każdy z was [...] musi zostać wielkim człowiekiem, albo niech pęknie”<sup>7</sup>. U Mickiewicza w miejsce wielkości pojawia się heroizm. To istotna różnica o dalekosiężnych skutkach.

Mickiewicz jako poeta zawsze był wrażliwy na uroki heroizmu i na piękno postaw przez nie określanych. Ale teraz zamierzył wstawić heroiczny kręgosłup każdemu towiańczykowi, każdego uczynić nie tyle wielkim, ile bohaterskim. Po co? Odpowiedź na to pytanie wiąże się z pewnym wariantem Mickiewiczowskiego traktowania towianizmu jako religii żywej i samej osoby Towiańskiego.

Dla Mickiewicza zespół czyichś wypowiedzi miał szanse uzyskać stopień wysokiej wiarygodności, jeśli stała za nimi autentyczność przekonań bądź osobowości. Zwłaszcza istotna okazywała się osoba formułująca poglądy, a w sprawach religijnych osoba mówiącego decydowała o odbiorze Mickiewicza. Dlatego przede wszystkim, że religia stanowiła dla

niego przedmiot wiary pojmowany czuciem, nie zespół dysertacji teologicznych. Towiańskiemu uwierzył od razu, choć w liście do Domeyki odwoływał się do znanych wśród przyjaciół swych cech rozwagi i roztropności: „Ty mnie znasz i wiesz, że w cuda wierzę, ale lekki w sądzie nie jestem i w działaniu ostrożny”<sup>8</sup>. Uwierzył przede wszystkim dlatego, że na osobę Towiańskiego zareagował w sposób emocjonalnie gwałtowny. Jeszcze po latach, gdy drogi ich się poważnie rozeszły, pamiętał to uczucie „w naszym zejściu się pierwszym [...], uczucie, jak gdyby coś zagotowało się i zawrzało [...] w sercu moim”<sup>9</sup>. Była to poręka świętości, dowód że obcuje się z sacrum. Zanim więc Towiański złożył dostępny dla oczu innych dowód swej nadnormalnej mocy, przywracając Celinę Mickiewiczową do zdrowych zmysłów, co poeta traktował w kategoriach cudu, Mickiewicz wedle swoich sygnałów wewnętrznych wiedział, że zetknął się z kimś nadzwyczajnym.

Z kim? Precyzacje, jakie dawał poeta, były różnorodne, poczynając od męża bożego, proroka, po aluzje, że może drugi Chrystus, może duch Chrystusa ponowiony we wcieleniu ludzkim. Goszczyński miał za złe Mickiewiczowi zaprowadzenie w Kole tytułatury Pan i Mistrz, widząc w tym bluźnierczą aluzję do Chrystusa. Nie prowadzimy tu procesu antyheretyckiego, aby warto było się spierać o to, jaki symbol kryła cielesna powłoka Towiańskiego. Najistotniejsze pozostaje wrażenie obcowania ze świętością, z sacrum, które jest człowiekiem, zatem swoim żywym wzorem otwiera wielką szansę przed każdym. Szansę naśladowania żyjącego wzoru, nie martwych ksiąg, szansę pójścia za nim, daną człowiekowi po raz drugi w dziejach chrześcijaństwa. A więc możliwość nowego apostołstwa, radość i szczęście uczestniczenia w wielkim dziele ponownej rechrystianizacji spoganiałego świata.

I tu miejsce na heroizm. Śmiałość, dzielność, bohaterstwo to wedle Mickiewicza niezbywalne cechy uczniów Mistrza i Pana. Zarazem cechy człowieka nowej epoki, który obok pokory musi być wyposażony w heroizm, aby podolać wszystkim trudom, jakie stary świat i wspierający go Szatan stwarzać będą pochodowi odnowicieli.

Zresztą w poglądach Mickiewicza na ów zastęp wyznawców postrzec można charakterystyczną dwoistość. Raz są oni bardziej apostołami, to znowu żołnierzami, którym przyjdzie stoczyć jakieś ogromne bitwy o prawdy żywe odnowionego chrześcijaństwa. Boje czysto metafizyczne ze złem, ale też tradycyjnie pojmowaną walkę z ziemskim przeciwnikiem. To znowu charakterystyczna oboczność Mickiewicza, potwierdzona świadectwem jego własnego życia. Donosił przecież Towiańskiemu 5 XII 1844 r. o tym, że stoczył wielką bitwę z siłami zła w „mieście rodzinnym” na Litwie, bardzo nieczystym, i czekał na znak fizyczny, od którego uzależniał podjęcie walk dalszych. Jest to przykład najzupeł-

niej metafizycznego pojmowania walki, osadzonego w wyobrażeniach Towiańskiego o tożsamości bytów realnych i spirytualnych oraz ciągłej między nimi interakcji. Trudno osądzać, czy walka ta wymagała heroizmu; dla osoby, która ją toczyła, była na pewno męczącą psychomachią.

Ale istnieją jeszcze co najmniej dwa Mickiewiczowskie pojęcia kondycji żołnierskiej: żołnierz idei i żołnierz w bardziej tradycyjnym sensie słowa. Żołnierz idei to apostoł walczący, ten który się zмага z przeciwnikami, z opinią publiczną, który poświęca się i ryzykuje i który nie ustępuje placu choćby wypadło płacić cenę wysoką. Ta postawa na pewno wymagała heroizmu i Mickiewicz zresztą uświadamiał braciom jak surowa żołnierska etyka ich obowiązuje. To on powiedział, że nie będzie się stawiać pomników padłym w boju. Klęska jest winą przegrywającego, upadek błędem lub karą. Nawet choroba obciążała moralne konto chorującego, dowodząc jego wewnętrznej słabości. Towiańczycy zatem mieli być wyłącznie armią zwycięzców, wojskiem zwycięskiej Sprawy.

Takie ujęcie problemu i takie odczucie znaczenia heroizmu, chciałoby się powiedzieć, heroizmu usensownionego, stwarzającego, miało szczególnie urok dla Mickiewicza i zresztą dla znacznej części towiańczyków. Zwłaszcza byłych wojskowych, ludzi czynu zbrojnego i konspiracyjnego. Tych więc, którzy naprawdę zrobili co w ludzkiej mocy dla niepodległości Polski i nic z tego nie wyszło. Takiego np. Goszczyńskiego wprost przesładowała świadomość wysiłku zmarnowanego i poczucie jałowości dalszych efektów robót konspiracyjnych. I nagle perspektywa wyjścia z klęski i męczeństwa jako formuły polskiego losu. Nie tylko dlatego, że kośćcem towianizmu był aktywizm człowieka i jego wprost nieograniczone możliwości kreacyjne, jeśli „wylewem” i „drgnięciem” do Boga wejdzie na właściwą drogę przemiany, zaś idea krzyża białego, którą od początku propagował Towiański, miała nadto wyraźny sens antymartyrologiczny. Ofiary nie wiązała z krwawą ofiarą życia, nie żądała śmierci dla Polski. Przede wszystkim dlatego, że historiozoficzny system Towiańskiego, nie tylko łatwe do wykpienia magiczne operowanie przepowiedniami, angażował się w sprawę Polski, gwarantował jej odrodzenie, czyniąc ją fundamentem nowej chrystianizacji świata. Zatem nie o byle jakie sprawy miał się zмагаć ten zastęp heroiczny żołnierzy Mistrza, ale o wszystko, także o wielkość i nowość idei Polski.

W pismach Mickiewicza, zwłaszcza tych z okresu konwersji, w listach, w wypowiedziach, wybijają się dwa tony — euforycznej radości i spokojnej pewności radykalnej odmiany losów Polski. Mickiewicz cieszy się jak człowiek, który odrzucił całun śmiertelny, który z kaplicy grobowej wrócił do życia. Widzi kolory, kwiaty i wolno mu się z tego cieszyć. Podobna radość, życiodajna radość przebija z zapisków Goszczyńskiego. Ten wzlot ku szczęściu wiąże się bezpośrednio z myśleniem o przyszłości

Polski. Wszyscy świadomi rzeczy towiańczycy zachowują się jak ludzie wyprowadzeni z manowców, na których bezskutecznie szukali zbawienia ojczyzny, jak wędrowcy, którym pokazano dobrze oznakowany trakt do wolności. Było to nie tylko jedno z największych doznań, ale także odkrycie podstawowej tajemnicy historii, tajemnicy losów Polski.

Tak właśnie, jako wyjawienie tajemnicy, potraktował Mickiewicz rewelacje historyczne Polski dotyczące na zebraniu Koła poprzedzającym rocznicę powstania listopadowego, świętą datę emigracji, w roku 1842.

„Adam zabrał głos i na ważne tajemnice zwrócił ogólną uwagę, że ten miesiąc jest rozpamiętywaniem w kościele historii Machabeuszów, którzy usiłowali starą Jerozolimę odbudować, wszystkie do tego starania robili, lecz odbudować starego Kościoła już nie można było, bo Bóg się nie powtarza. Również i my 29 listopada starą Polskę wskrzesić pragnęliśmy, stąd dopuszczenie i nie powiodło się nam. W tym samym miesiącu, tj. 30, jest dzień św. Andrzeja «który, jak są podania, był apostołem Słowian»; to jest także kres starego zakonu i przyjście Chrystusa [...].”<sup>10</sup>

Polacy, myśląc się z powstaniem o jeden dzień, chybili o całą epokę. Wyobraźnię Mickiewicza, tak wyczuloną na symbolikę liczbową, uderzało bezpośrednio sąsiedztwo 29 listopada i 30, dzień patrona, którego imię nosił człowiek epoki nowej — Andrzej Towiański. Zakwestionowanie sensowności powstania listopadowego było wstępem do Mickiewiczowskich przewartościowań historii najnowszej w jej najbardziej newralgicznych punktach: stosunku do Rosji, obrazu wroga, etyki nienawiści i odwetu jako rysu polskiej mentalności zbiorowej. W poważnym więc sensie był Mickiewicz duchowym współautorem listu do cara Mikołaja z 1844 r., on też w sposób bezdyskusyjny zapoznał z nim Koło w dzień kolejnej rocznicy powstania listopadowego. W opinii publicznej, doskonale poinformowanej o liście do cara, m.in. przez ogłoszony w prasie protest Mikołaja Kamińskiego, zaczął uchodzić za duchowo zmoskalonego. Nawiasem mówiąc w emigracyjnym oglądzie Mickiewicza-towiańczyka pojawiły się dwa rysy nowe: pomieszanie zmysłów, krótko mówiąc, wariacja, którą — jak dowcipkowano — zaraził się od żony, i właśnie zmoskalenie.

Mickiewicz był doskonale świadom zarówno rezonansu, jaki wywołują jego poglądy, jak też drastycznej śmiałości samych poglądów. A jednak ani tuszował tę drastyczność, ani próbował bronić swego dobrego imienia. I tak postępował wówczas w każdej sprawie, o której słuszności był przekonany i którą uważał za zbawienną dla innych — dla emigracji, dla Polski, dla ludzkości. Sposób pojmowania najnowszych dziejów Polski i stosunek do Rosji były to kwestie szczególnej doniosłości i najżywiej ogół obchodzące. Ale nie jedyne, w które Mickiewicz włożył tyle energii nowatora i tyle śmiałości nonkonformisty. Podobnie rzecz się miała z wyobrażeniami o moralnym odnowieniu Kościoła, czyli — jak mawiał Mistrz — o trzecim piętrze Kościoła, które uformować mieli towiańczycy.

Towiański rzucał ogólne idee, ale Mickiewicz jał naprawdę wznosić to trzecie piętro, ustalając nowe obrzędy, ceremoniały lub gruntownie zmieniając sens dawniej przyjętych w Kościele katolickim. Wprowadził chrzty, śluby, spowiedź braterską, komunię duchową, miał zamiar urządzić kaplicę, pojętą jako miejsce skupionej modlitwy i zapewne odprawiania owych ceremonii wyrwanych z rąk „kapłanów niegodnych”, ale także kaplicę łąmiącą wyobrażenia o wnętrzach kościelnych. Miały się tam bowiem znajdować świętości usakralizowane wyłącznie przez wewnętrzny porządek towianistyczny, np. kule spod Waterloo, na pewno w końcu zawieszono by dagerotyp Towiańskiego, a na czołowym miejscu zawisłby być może rysunek Wańkowicza, ów Napoleon w welonie i oficerskich butach. Zamilczmy o kielichu z Tilly, tym od krwawiących hostii Vintrasa, który Mickiewicz, już w obliczu procesu wytoczonego Piotrowi Michałowi za szalbierstwa, miał zamiar umieścić w towianistycznej kaplicy.

Wszystkie te działania, a ich promotorem bądź namiętnym realizatorem był Mickiewicz, mają tę samą cechę transgresyjności, przekraczania granic, nieliczenia się z przyjętymi normami, przyzwyczajeniami, z ludzką skłonnością do kompromisu. Mickiewicz ciągle dokonywał duchowego salto mortale, tego skoku bez zabezpieczenia, i innych do niego zmuszał. Dlatego tak gwałtował o heroizm, wszczepiał ducha żołnierskiego i nawet żołnierskie rygory. Towiański z upodobaniem i wielokrotnie przywoływał cytat z Pisma Świętego o gwałtownikach, którzy szturmują Królestwo Niebieskie i zdobywają je. Ale naprawdę w całym jego otoczeniu, nie wyłączając jego samego, jeden znalazł się tylko biblijny gwałtownik. Właśnie Adam Mickiewicz.

Dlaczego był tym gwałtownikiem? Jest to kluczowe pytanie, od którego zależy także pogląd na doświadczenie towianistyczne Mickiewicza. Dlaczego był tak skrajny, dlaczego docierał bądź starał się dotrzeć do krańca pewnych możliwości, dlaczego przekraczał granice? Skąd to upodobanie do salto mortale człowieka, który wszak nie tak dawno temu mniemał o sobie, że jest „w działaniu ostrożny”? Stwierdzenie, że taka była osobowość Mickiewicza niewiele wyjaśnia, zaś posądzeniem, że wpadł w szpony Towiańskiego, który wyjadł mu mózg, nie będziemy ubezwłasnowolniać poety. Zresztą śledząc rozwój konfliktu między Towiańskim i Mickiewiczem postrzec można zjawisko odwrotne — lęk Mistrza przed Bratem—Wieszczem, obawę że uczeń przeszedł oczekiwania i może mu „misją” odebrać.

Każda z prób wyjaśnienia tej tajemniczej kwestii pozostanie hipotezą. Korzystając z prawa do swobody przypuszczeń zaryzykujemy, kilka, może niezupełnie bezpodstawnych domniemań. Tak więc odnieść można wrażenie, że Mickiewicz dokonuje na sobie pewnego eksperymentu antro-

pologicznego. Świadomie siebie zmienia i chce zmieniać możliwie gruntownie. Nikt chyba wśród towiańczyków z takim rygiorem i dziką energią nie przystąpił do stwarzania w sobie nowego człowieka i rwania więzi z sobą dawnym. Może jeden Goszczyński, ale on chciał zostać świętym, Mickiewicz natomiast walczył z sobą i o siebie pokornego, wyzbytego pychy rozumu, obciążeń intelektu, walczył o hart żołnierza i dary chłopca. Chciał być heroiczny i prosty, chciał w pełnym wymiarze zostać człowiekiem wiary, przed którym otworem stoi cudowny świat duchów, ale także dar pokornej ufności w możliwość stałej komunikacji realnego z metafizycznym. Nie tylko w celu obalenia barier między strefami bytu, co fascynująco poszerzało scenę ludzkiego istnienia, ale także po to, aby nawiązać nowe sojusze, uzyskać źródła wsparcia i pomocy, z których potrafił korzystać lud i mógł — wydawało się — korzystać człowiek z wyboru prosty, który odbudował w sobie wiarę, czucie i instynkt.

Mickiewicz towiańczyk o takim zamiśle rekonstrukcji wewnętrznej i w jednej osobie profesor w Collège de France skazywał siebie na pewną trudność, jeśli nie fałszywość położenia. Musiał być połowiczny i niekonsekwentny, nie mógł przestać być człowiekiem książek i wiedzy, nie mógł kompletnie zlekceważyć darów intelektu. Może dlatego tak bardzo męczyły go te wykłady i zapewne dlatego starał się przemieniać je w improwizacje, czyli mówienie z ducha. Wykonał jeszcze inne posunięcie o wielorakich sensach: egalitaryzmu, pokory, manifestu więzi ze społecznością towianistyczną. Potraktował wykłady jako wspólną pracę Koła, jako służbę ogółu braci. Nie tylko w charakterze publiczności wspierającej duchem wykładowcę, ale jako współtwórców samego wykładu. Poniekąd Koło miało wyklądać z katedry. W tym celu należało Mickiewiczowi przekazywać karteczki z propozycjami tematów, pomysłów, ujęć interpretacyjnych. Niektórzy musieli czuć się dotknięci, jeśli profesor ze zleceń się nie wywiązywał, skoro Goszczyński uznał za stosowne zanotować w *Dzienniku Sprawy Bożej*, że „bracia nie mogą po nim żądać, aby mówił wszystko, co mu będzie podane”<sup>11</sup>.

Natomiast po zawieszeniu wykładów przez władze Mickiewicz, jak gdyby uwolniony od fałszywości położenia, rozpoczął intensywną konsolidację nowej tożsamości, gwałtując o dary i moce wewnętrzne, o świętość prawdziwego kapłana i surowość Chrystusowego żołnierza. Przyginał kark sobie i innym, narzucał bieg do doskonałości, beształ maruderów, łamał opornych. Ma się wrażenie, że postawił wszystko na jedną kartę — stworzenia siebie i innych w kształcie duchowym sposobnym do wydania zwycięskiej walki złu we wszelkich jego wcieleniach. Było tych wysiłków półtora roku (od połowy 1844 do listopada 1845) i pozostawiły one złe wspomnienie w pamięci towiańczyków. Jedni ślali do Mistrza skargi na „morzący” ton Mickiewicza, jak mówiło się w ich języku,

drudzy udawali moce i dary, inni zapewne zapadali w apatię czując niemożność wykonania żadnego salto mortale. Wspólnota się zwickłała, rozbiła, a śmiały eksperymentator został surowo przywołany do porządku przez Towiańskiego.

Nie interesuje nas tutaj historia towianizmu, przeto nie zatrzymamy się na wydarzeniach, o które rozbiła się „spółka” Mickiewicza z Towiańskim. Warto natomiast zaproponować przeciwko upatrywaniu w tym fakcie końca towianizmu poety, jakiegoś zasadniczego uleczenia, może nawet otrzeźwienia po duchowym delirium. Towianizm nie był chorobą, był radykalną próbą zbudowania nowej tożsamości, przyswojenia sobie filozofii spirytualnego aktywizmu i zastosowania jej do praktyki życia. Był próbą ocalenia się. Próbą udaną. Przypisuje się Mickiewiczowi taką mniej więcej wypowiedź: gdyby nie pan Andrzej umarłbym z suchot. Ale mógł umrzeć także od emigracji, bo to również była choroba, albo nie umrzeć, lecz żyć z rozbitą tożsamością, bez wiary w poezję i bez zaufania do siebie.

Po rozejściu się z Towiańskim i założeniu własnego Koła Mickiewicz dokonał wielu retuszy w swoich działaniach i poglądach. Świętość począł łączyć z ziemskością, rozmach pragnień przystosowywać do rzeczywistości, marsz ku Polsce wymierzać „krokami nawet ziemskimi”. Ale nie zrezygnował z podstawowego daru, który mu wszczepił towianizm: z zaufania do swojego „ja” wewnętrznego, do wiary w siłę duchowej energii, której nikt i nic w człowieku wytracić nie może. Zatem skrajne upodmiotowienie pojęcia niezależności, wolności i aktywnego stosunku do świata. Dzięki tym cechom i tej postawie dokonał Mickiewicz rzeczy nadzwyczajnych, takich jak legion włoski, czyn nie dający się pomyśleć w kategoriach ludzkich możliwości, nie do wykonania na siłę człowiecze. Jeśli mówiliśmy o przekraczaniu barier w eksperymencie antropologicznym, tutaj mamy ten sam mechanizm w zwarciu z historią, jak się wyrażano w sekcie — przepuszczony przez ziemię. Wydaje się, że i podróż krymska nie byłaby możliwa bez wiary Mickiewicza w swą gwiazdę przewodnią i w swą duchową moc kruszenia przeciwieństw.

Wiadomo, że Mickiewicz, już towiańczyk, począł interesować się Emersonem, czytał jego *Eseje*, próbował je tłumaczyć, a wiele myśli amerykańskiego moralisty wcielił wprost do prelekcji paryskich. Aktywizm moralny, koncentracja na czującym wnętrzu, zaufanie do etycznego systemu wartości jednostki, który czyni ją odporną na wielorakie redukcje, jakim cywilizacja mieszczańska poddaje człowieka, te myśli Emersona zbiegały się z antropologią Mickiewicza i w pewnym momencie może więcej więzi łączyło poetę z duchownym amerykańskim niż z Towiańskim, zwłaszcza po rozłamie w roku 1846. Albowiem po secesji tzw. Koło Mickiewiczowskie ma wyraźny kierunek antropologiczny, zwrócony ku



poznaniu żywych wzorów chrześcijaństwa, jakich dostarcza historia Kościoła, zwłaszcza w jego początkach. Wzorów religijności aktywnej, z których płynie uniwersalna nauka humanizmu walczącego. Wszakże Emerson odkrywał Mickiewicz nie przeciw towianizmowi, lecz niejako dzięki niemu, dzięki współbrzmieniu idei, myśli, uczuć, którymi w tak odległych geograficznie strefach próbowano bronić człowieka przed złem metafizycznym i realnym cywilizacji XIX w.

Życie Mickiewicza-towiańczyka przypomina jego własną poezję. Jest jakby biografią realizowaną podług tych samych reguł estetycznych nie liczących się z podobieństwem do prawdy ani charakterów, ani sytuacji, ani ziemskiej sceny wydarzeń. Bo jest to dramat metafizyczny dziejący się w różnych sferach rzeczywistości, spinający w całość ziemię i niebo, zakładający bezustanną interakcję między nimi. Jest to rzeczywistość literacka znana z *Dziadów* cz. III, ale z zupełnie odmienionym bohaterem. Nie ma tu już miejsca na Konrada walczącego z Bogiem, Konrada bluźniercą. Ten realny bohater jest po stronie Boga, jest jego apostołem i żołnierzem w służbie boskiego namiestnika — Andrzeja Towiańskiego. Z Konrada pozostała mu śmiałość, gwałtowność i namiętność, chciałoby się powiedzieć — transgresyjny rozmach, tym razem w szczeblowaniu ku świętości.

Mickiewicza nazywa się poetą przemian z uwagi na transfiguracje jego bohaterów literackich, wiadomo także, iż los Konrada z *Dziadów* drezdeńskich jest niedopowiedziany, a jego osobowość literacka otwarta w przyszłość. Mickiewicz nie napisał dalszych części *Dziadów*, ale czy nie zrealizował ich inaczej, poprzez własne życie i z sobą jako bohaterem—towiańczykiem? Oczywiście, że hipoteza ta miesza porządek literatury i życia, ale jest to naprawdę nikła swoboda w porównaniu z pełną anarchią, jaka w tej mierze panuje w myślach, czynach i pismach towiańczyków. Także Mickiewicza, przede wszystkim Mickiewicza. Pisanie życiem literatury było jednym z najbardziej zuchwałych i ryzykownych eksperymentów poety. Przeto doświadczenie towianistyczne Mickiewicza staje się także doświadczeniem literackim — próbą przekroczenia literackości literatury.

## Przypisy

<sup>1</sup> A. Mickiewicz, *Listy* cz. III. Wydanie Narodowe Kraków 1955, t. 16, s. 98 - 99.

<sup>2</sup> A. Mickiewicz, *op. cit.*, s. 101.

<sup>3</sup> S. Goszczyński, *Dziennik Sprawy Bożej*. Oprac. Z. Sudolski przy współpracy W. Kordaczuk i M. M. Matusiak. Warszawa 1984, t. 2, s. 140.

<sup>4</sup> A. Towiański, *Biesiada z bratem Karolem w: Współudział Adama Mickiewicza w Sprawie Andrzeja Towiańskiego. Listy i przemówienia*. Paryż 1877, t. 2, s. 244.

<sup>5</sup> S. Pigoń w swym wspaniałym studium o towianizmie Mickiewicza, które poprzedza t. 11 *Dzieł wszystkich* w Wydaniu Sejmowym (Przemówienia), robi trafne spostrzeżenie, iż poeta darzył minimalnym zainteresowaniem teoretyczną, zwłaszcza kosmofobiczną część nauki Mistrza, tę np., której wykład zawiera *Wielki period*. Dodajmy: gdyby Towiański nic nadto nie miał mu do zaproponowania, poeta nieźle obeznany z pismami mistyków dużo wyższej próby niż autor *Biesiady*, byłby może skwitował jego nauki podobnie jak pisemka mniemanego Ludwika XVII — Naundorfa: „pełne głupstw, bluźnierstw i fałszywych prorocत्व”.

<sup>6</sup> Por. C. G. Jung, *Problèmes de l'âme moderne*. Paris 1960.

<sup>7</sup> Sąd ten przytaczamy w relacji Goszczyńskiego, *op. cit.*, t. 1, s. 251.

<sup>8</sup> A. Mickiewicz, *Listy cz. 2*, Wyd. Nar., t. 15, s. 385.

<sup>9</sup> A. Mickiewicz, *op. ci.*, t. 16, s. 48.

<sup>10</sup> A. Mickiewicz, *Przemówienie w Kole, 27 XI 1842 r.* w: *Dzieła wszystkie*, Wyd. Sejm., t. 11, s. 138.

<sup>11</sup> S. Goszczyński, *op. cit.*, t. 1, s. 151.